

Pieszko przez Ziemie Odzyskane

skich władz administracyjnych, pierwsze polskie sztandary i na jedynym całym budynku w tym mieście tablicę z napisem: Magistrat miasta Lubią! Czy ktokolwiek może sobie wyobrazić naszą radość?

nie w polski organizm gospodarczy. Objęliśmy ziemie zniszczone, zdewastowane i wyludnione. Tak szybkie zespolenie ich w jeden organizm świadczy najwymowniej o sztuczności dawnej granicy polsko-niemieckiej. Jeśli

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 15 Głosu Wielkopolskiego

W dniu 11 kwietnia odbędzie się w szeregu miejscowości na Ziemiach Zachodnich i w Polsce centralnej uroczyste otwarcie „Tygodnia Ziemi Zachodnich” przy udziale najwyższych władz państwowych. W niektórych miejscowościach otwarcie „Tygodnia” połączone będzie ze specjalnymi obchodami a w całym kraju rozpoczną się zbiórki uliczne i rozprzedaż nalepek okiennych na Fundusz Społeczny dla Ziemi Zachodnich.

W dniu tym myśli i serca wszystkich Polaków skierują się ku naszym Ziemiom Odzyskanym nad Odrą i Nisą manifestując swą niezłomną wolę trwania na ich straży i wypełniając tym samym testament pierwszych Piastów. W promieniach wiosennego słońca umęczona ziemia pracujących naszych nabierze świeżych rumieńców, zblizniając niedawne jeszcze rany a oczy przygodnego wędrowca nasyci krasą swego pejzażu i rozmachem dźwigających się gruzów warsztatów pracy. Krótki reportaż z ilustracjami uwidoczni nam jeszcze bardziej charakter tych Ziemi i ich ogromną wagę w naszym organizmie państwowym.

Gdy w styczniu 1945 r. pewność siebie Niemców znacznie zbladła, strażnicy w żołnierskim obozie jeńców skłonni byli do rozmów na temat prze-

dzisiejsze miasta Lubią, Lwówek, Złoty, Legnica, Chojnów, Lubią, Scinawę, Gręboszyce, Głogów i po trudnej dość przeprawie przez Odrę dalej



Czym byłyby nasze Ziemie Zachodnie bez ludzi — tej garstki wypróbowanych bojowników o wiarę przodków i język polski — którzy od stuleci je zamieszkiwali. Oto grupa tzw. autochtonów z Dąbrówki Wlkp. na Ziemi Lubuskiej — tej oazy polskości w pięknych tradycyjnych strojach

biegu wojny i in. Coraz częściej zamiast „polskie świnię” padały słowa „towarzysze”. Pewnego dnia dwóch żołnierzy Wehrmachtu i grupka jeńców rozmawia o zdobyciach niemieckich. Jeden z jeńców powołując się na hitlerowskiego profesora Uniwersytetu Lipskiego dr. Waltera Francka udowadnia, że tereny na wschód od Łaby były kiedyś słowiańskimi i że Wrocław (Breslau) to ongiś polskie miasto. Niemcy wcale się nie rozgniewali, lecz zaczęli się głośno i długo śmiać, pukając palcami po głowach i spoglądając wymownie na owego jeńca.

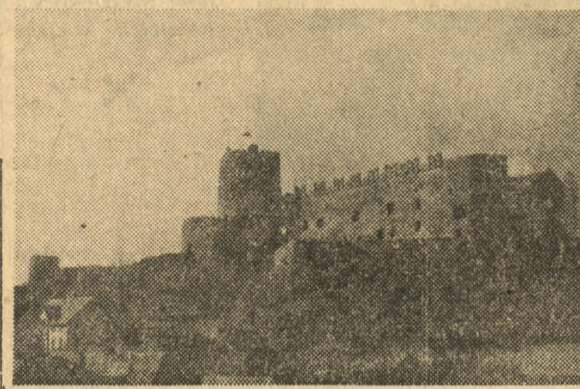
Toteż nie trudno sobie wyobrazić naszą radość, kiedy po oswobodzeniu obozu przez wojska amerykańskie usłyszeliśmy głos z Warszawy, że ziemie po Odrę i Nisę Łużycką wracają do Polski i obejmowane są przez polską administrację. Natychmiast po kapitulacji Niemiec pewna grupa postanowiła wracać do kraju, nie chcąc pozostać dalej w „niewoli amerykańskiej”, jak żartobliwie nazywaliśmy uwolnienie przez wojska sojuszników.

Tak się złożyło, iż maszerując znaleźliśmy się w Zgorzelicach nad Nisą. Pociągi szły przeważnie w kierunku wschodnim, co nam Wielkopolanom wcale nie odpowiadało, gdyż zamiast zbliżać oddalało nas od celu podróży, tj. domu rodzinnego. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy iść dalej pieszo. Kierunek północno-wschodni i poprzez



Mimo wielu zniszczeń zachowały się na Ziemiach Zachodnich niejedne cenne zabytki sztuki a zwłaszcza architektury, które pieczołowicie zabezpiecza się lub przewozi do muzeów. Wśród kościołów Ziemi Lubuskiej wspaniałą wieżącą odznacza się Para we Wschowie, której iglicę wysoką na blisko 60 metrów widać już z daleka w promieniu kilku kilometrów

Fot. (7) „Głos Wielkopolski” — E. Kitzmann

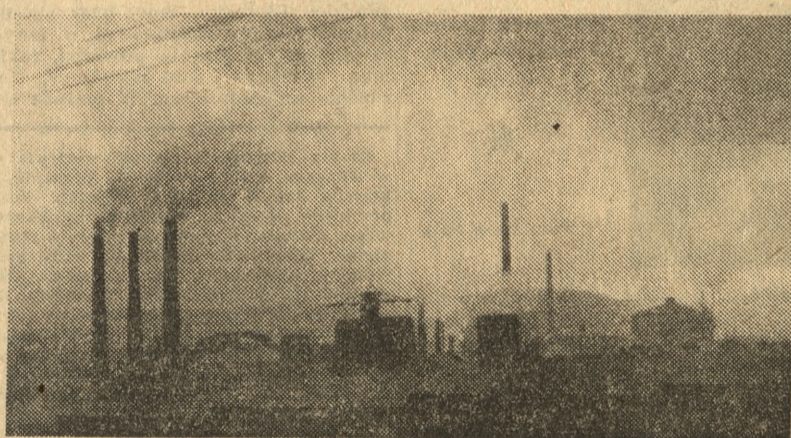


Nasze Ziemie Zachodnie posiadają liczne zabytki historyczne świadczące o ich polskości i naszych słuszych prawach do tych ziem. Periódna polityka germanizacyjna ani sroga zawierucha wojenna nie potrafiły zatrzeć tych śladów słowiańskiego władztwa, czego wymownym dowodem jest m. in. stary zamek piastowski w Bolesławcu na Dolnym Śląsku

Przechodząc przez te ziemie mieliśmy możliwość porobienia wielu spostrzeżeń. Dolny Śląsk, szczególnie w północnej części, był bardzo zniszczony przez działania wojenne. Całe miasteczka i wioski w gruzach. Większość niemieckich mieszkańców uciekła już na zachód. Jednym słowem obraz nędzy i rozpacz. Tak to wówczas określiliśmy. I w tym obrazie polskie władze administracyjne i pierwsi osadnicy z poznańskiego. Wielu z przedstawicieli tych władz to entuzjaści. Zrobi się, mówili uparcie Wielkopolanie. Zakwitnie tu niedługo pełne życie. Nie bardzo wówczas dowierzaliśmy.

I o dziwo! Zrobiło się. Przed zaledwie czterema tygodniami miałem możliwość — już na szczęście nie przechodzenia, ale przejeżdżania samochodem — przez te tereny. Jakż inny obraz. Znikły w większości gruzy, nie ma pustych wiosek, pełno entuzjastycznie nastrojonej ludności. Obraz pełen życia, radości, wesela i pracy. Bo mieszkańcy naszych kresów zachodnich to po prostu tytani pracy. W ciągu tych trzech minionych lat, jakie dzieła nas od chwili pierwszego przemarszu tym szlakiem, nastąpiły takie zmiany, które wywołują podziw nie tylko Polaków, ale i obcych obserwatorów, o ile podchodzą do zagadnienia obiektywnie.

Oceniając więc z perspektywy czasu nasze na tych ziemiach osiągnięcia trzeba przede wszystkim zrozumieć warunki w jakich dokonywało się zespolenie ich z resztą kraju i połącze-



Panorama kominów, wież, pieców i dachów, spowitych pióropuszcami dymów i poprzeczanych siecią drutów i anten — oto charakterystyczny obraz wielkich ośrodków przemysłowych na Dolnym Śląsku, Wałbrzych stanowi tam ważny ośrodek przemysłu węglowego i hutniczego. Obchody związane z inauguracją „Tygodnia Ziemi Zachodnich” będą miały w tym mieście tego roku charakter centralny z udziałem przedstawicieli Rządu R. P. i Rady Naczelnej P. Z. Z.

KISFALUDY KAROLY (1788 — 1830)

(poeta węgierski współczesny Mickiewiczowi)
głośny wiersz, wyrażający tęsknotę na obczyźnie za krajem

Ziemio moja, ziemio przodków! (Szülöföldem szep határa)

Ziemio moja, ziemio przodków!
Zaliż jeszcze ciebie spotkam?
Kędy przejdę, gdzie przystanę,
Widzę Twą fatamorgane.
Ptak przeleci zaraz — pytam:
Czy tam zagon już zakwita?
Wiatrów szepty słuchem łowie,
U chmur goszczę na rozmowie...
Lecz te zamiast mnie pocieszyć,
Smutkiem karmią i gdzieś śpieszą...
A ja wędne osierocion,
Jakby trawa na opoce.
Snów przystani, domku miły!
Jak nas losy rozdzieliły!
Jak liść wiatrem zagoniony,
Tak tu padłem w obce strony.

Tłum. Tadeusz Fangrat

chodzi o całość Ziemi Odzyskanych to w lutym 1946 r., a więc w niespełna rok po objęciu, mieszkało już tam 2 725 tysięcy Polaków. W rok później 4 584 tysiące, a w dniu 1 stycznia 1948 r. — 5 250 tysięcy. Nie jesteśmy już wcale daleko od przedwojennej cyfry zaludnienia.

Inne cyfry. Powierzchnia zasiewów w r. 1945/46 wynosiła 1 788 000 ha, w r. 1946/47 już 3 200 000 ha, a w r. 1947/48 — 3 880 000 hektarów. Równocześnie wzrastał nasz potencjał gospodarczy i



Ziemia Lubuska wchodząca w skład województwa poznańskiego stanowi pomost między Pomorzem Zachodnim a Dolnym Śląskiem. Mimo swego nizinnego i na pozór monotonnego ukształtowania terenu obfituje ona jednak w liczne — pełne uroku i poezji — zakątki jak na przykład powyższy, rozciągający się wzdłuż drogi prowadzącej do Paradyża (Gościkowa)

kulturalny. Ilość koni: rok 1945 — 89 000 sztuk, 1946 — 249 000, 1947 — 552 000. Bydła: rok 1945 — 273 000, 1946 — 588 600, 1947 — 857 000 sztuk. Ilość pracowników przemysłowych wynosiła w r. 1945 — 73 235, w r. 1946 — 206 393, w r. 1947 — 304 595. Do szkół powszechnych uczęszczało: w r. 1945 — 254 000 dzieci, w r. 1946 — 548 000, a w r. 1947 już 603 000. W 1945 r. wykładało 5 851 nauczycieli, a dziś 15 486. Do szkół średnich uczęszczało w r. 1945 — 19 450 młodzieży przy 759 nauczycielach, dziś natomiast pobiera naukę 37 000 młodzieży, a wykłada 2 998 profesorów. Ponadto mamy już 10 szkół wyższych i 20 000 studentów.

To są cyfry wymowne i świadczące o prężności, pomysłowości, pracowitości i przedsiębiorczości Polaków. Gdy do tego dodamy olbrzymie osiągnięcia w odbudowie z gruzów zakładów przemysłowych (1215) i ich obecnej produkcji (30% produkcji krajowej) oraz 29 383 przedsiębiorstw przemysłowych prywatnych, to zadajemy kłam propagandzie niemieckiej o „Polnische Wirtschaft”.

To jest znaczenie Ziemi Odzyskanych, które powinniśmy sobie uświadomić w czasie „III Tygodnia Ziemi Zachodnich”.

Kazimierz Jaźwiecki

Obok ważnych obiektów gospodarczych posiada Dolny Śląsk także — dzięki swym właściwościom klimatycznym — kilka pierwszorzędnych miejscowości kuracyjnych, w których robotnicy i pracownicy umysłowi ratują nadszarpnięte zdrowie. Foto grafia nasza przedstawia wnętrze takiego domu kuracyjnego w Cieplicach—Zdroju



Efektowne zdjęcie potężnego dźwigu w porcie szczecińskim, który stanowi dziś ważki punkt przeładunkowy w naszym handlu zagranicznym, konkurując skutecznie z największymi portami basenu Morza Bałtyckiego

EUGENIUSZ MORSKI

ZIEMIA

W nowym, słońcu pola się rozrosły i zagony przysły aż pod dwór, wiejskie dżelci ucieszone wiosną przeskakują poprzez pański mur.

Już nie strasz w czarnych oficerkach działwy dziediec spod rozkwitłych grusz, tylko matka suszy w słońcu perkal nad szpalerem niestrzyżonych róż.

A za murem zapatrzony w lemiesz, stąpa wieśniak w dał zoranych smug i oddaje mu się czarna ziemia pieszczotliwie obejmując plug.

Ona tylko wierną pozostała — malka miła, najoddańsza z żon — z pracy rąk, z żywego swego ciała znów wspaniałą dziś przyniesie plon.

Smutne dni przetrwała samowoli, poszli ci co jej smagali pierś, co ją wrogom łatwo zapredali, co jej synom zgotowali śmierć.

I dlatego lamie się dziś w świerkach, jak czerwony sztandar odbłask zórz, bo nie strasz w czarnych oficerkach działwy dziediec spod rozkwitłych grusz.

„Placówka” po niemiecku

Jeden ze szwajcarskich tygodników zamieścił recenzję książki Bolesława Prusa „Placówka”, która ukazała się w dobrym tłumaczeniu niemieckim. Autor recenzji wyraża żal, że książki Prusa tak późno przyswajają się społeczeństwu szwajcarskiemu, które poza znajomością Sienkiewicza i Mickiewicza niewiele wie o polskiej poezji i prozie.

Ukazanie się „Placówki” w tłumaczeniu niemieckim ma w obecnej chwili dla Polski duże znaczenie propagandowe, służąc sprawie Ziemi Odzyskanych. Wprawdzie Prus miał na myśli zupełnie inne cele w toku tworzenia „Placówki”, ale teraz — w rękach cudzoziemskiego czytelnika — dzieło to wznieci zrozumienie dla osadników polskich na Ziemiach Odzyskanych. W latach 80 ubiegłego stulecia mieszkancie wsi polskiej musiał uporczywie bronić się przed inwazją niemieckich kolonistów, dziś zaś równie uporczywie i twardo trwać będzie na repolonizowanych Ziemiach Zachodnich. Tam na zachodnich rubieżach naszego państwa osiedla się przeważnie element wiejski, zapuszczając głęboko korzenie w grunt, z którego żadna siła nie potrafi go więcej usunąć.

Tłumaczenie dzieła Prusa na język niemiecki winno ugruntować w świadomości zagranicznego czytelnika obraz mocy i wytrwałości polskiego chłopca, który dzisiaj nie kieruje się li tylko ślepym instynktem, lecz krytycznym rozumem. Współczesny Ślimak uświadomił sobie swoją pionierską rolę na Ziemiach Zachodnich i czuje się współodpowiedzialnym za losy narodu na ziemiach nadodrzańskich, gdzie twardo pełni straż na polskiej — dawniej pruskiej — placówce.

Bolesław Vir



Polskie malarstwo krajobrazowe

Temat krajobrazu rozwija się w malarstwie polskim słabo i powoli. Początków jego należy doszukiwać się jeszcze w czasach panowania Stanisława Augusta, w dziełach Zygmunta Vogla (1764—1826), na wpół architekta, na wpół malarza, który w swych rysunkach i akwarelach przekazał nam liczne widoki ówczesnej Warszawy, Puław, Wilanowa, Arkadii itd. Nie ma jednak w tym okresie tej ciągłości rozwoju malarstwa pejzażowego, jaką spotkamy później po połowie wieku XIX. Malarzem widoków miejskich i wnętrz architektonicznych następnego pokolenia jest Marcin Zaleski (1796—1877), bardzo zdolny artysta, profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. W swych obrazach, ujętych realistycznie, przedstawia z wielką miłością i zrozumieniem zabytkowe budowle polskie, zwłaszcza starego Krakowa i Warszawy. Jego wnętrza przepelnione są ciepłym światłem, umiejętnie wprowadzonym i ożywione grą światła i cieni. Drugim wybitnym malarzem tego samego typu jest Aleksander Gryglewski (1833—1879), bezpośredni spadkobierca sztuki Zaleskiego.

Nie jest to jednak właściwe pejzażowi oparcie na studiach natury i przyrody, którego tematem jest wyłącznie krajobraz. Zacznie się ono dopiero od

XVII wieku oraz Władysław Malecki (1836—1900), malarz o dużym rozmachu pędzla i delikatnym, stłumionym kolorystyce.

Malarstwo pejzażowe tego czasu cechuje przede wszystkim uczuciowy stosunek do tematu. Artyści podchodzą

poliskim inną formę, niż na zachodzie. Odkrycie czystego koloru i naturalnego światła staje się u nas mniej rozumowe i naukowe, a polega przede wszystkim na uczuciowym i emocjonalnym podejściu do zjawisk natury. Stąd efekty kolorystyczne i świetlne są



Józef Szmętowski
Kościółek wiejski

z idealistyczno-romantycznym nastawieniem do przedmiotu swego obrazu, w każdym szczególe przebija ich rozmiłowanie w ziemi ojczystej. Sentyment i uczucie są dominującą postawą w ich stosunku do rzeczywistości, któ-

w dziełach naszych malarzy bardziej bezpośrednio, naturalne, pełne temperamentu malarskiego i siły wyrazu. Z Leonem Wyczółkowskim (1852—1936), Janem Stanisławskim (1860—1907) i Julianem Fałatem (1852—1929) krajobraz polski wchodzi w ów nowy okres impresjonizmu, w jego polską odmianę — plenerizm. Nie ma teraz obiektywnego podejścia, starannego wykończenia szczegółów, są raczej swobodne impresje, śmiałe w środkach malarskich, dążące przede wszystkim do wyrażenia pełnego efektu światła danego motywu. Plamy barwne kojarzą się ze sobą, dając nadzwyczajne efekty kolorystyczne całości. Nie zrywając przy tym z tradycją naturalizmu, artyści potrafią z doskonałym wnikliwym wyczuciem oddać piękno i charakter przyrody i ziemi; jak pisano się dawne, dobre i ciekawe powieści? To wszystko.

— Wcale im się nie dziwię. Politycy, tak samo jak szary odbiorca życia i literatury, nie mogą ciągle tylko iść naprzód, zwłaszcza po trudnej drodze, chcą od czasu do czasu zatrzymać się, spojrzeć wstecz na przeżyty odcinek, zrobić obrachunek, porównać teorię z życiem.

— Tak, to jest bardzo ludzkie i zrozumiałe, wyczuwamy to doskonale, ale...

— Ale co?

— Są trzy „ale”. Nie wiem czy pan jako czytelnik zdaje sobie sprawę z istotnego stanu naszej pisarskiej rzeczywistości. Jest nas w Polsce piszących literatów kilkunastu (mówię o pisarzach z nazwiskiem). Z tej liczby może sześciu żyje z książek. Reszta o mniej głośnych nazwiskach plus cała młodzież literacka, musi iść do dodatkowej pracy zarobkowej w innych zawodach. Napisanie powieści, takiej jaką chce pan i inni czytelnicy, jest właśnie najtrudniejsze. W mławie sty-

ra idealizują, stwarzając nastrój romantyzmu.

Następne pokolenie malarzy polskich rozwija się i tworzy w okresie, w którym wartości czysto malarskie, zagadnienie koloru i światła staje się dominujące. Jest to realizm i impresjonizm. Jednym z największych malarzy polskich tego okresu i bezsprzecznie największym pejzażystą jest Józef Chelmoński (1850—1914). Jego potężna indywidualność, jego temperament malarski, pozwoliły mu na stworzenie arcydzieł, którym rzadko kto dorównał. Obok czysto malarskich wartości obrazu jego cechuje wnikliwy, uczuciowy stosunek do przyrody, głębokie przeży-

cie i wczucie się w istotę charakteru krajobrazu polskiego. Jak nikt inny potrafił podpatrzeć najtajniejsze jego nastroje, najprostsze motywy stają się u niego poezją, przeżywał je duszą.

Impresjonizm przybiera w malarstwie

dualności stworzył nowy wyraz malarski i własny styl. Takimi są Stanisław Czajkowski, Stefan Filipkiewicz, Stanisław Kamocki, Ferdynand Ruszczyc, Teodor Ziomek, Apoloniusz Kędziński i wielu innych.



Franciszek Kostrzewski — Polna droga

Fot.: Leon Perz



Józef Chelmoński — Orka

Christiana Breslauera (1802—1860), profesora warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, który pierwszy jeździł z uczniami w plener i robił bezpośrednie studia z natury. Jest on mistrzem licznych pokoleń pejzażystów. Z jego szkoły wyszli pierwsi wielcy polscy malarze krajobrazu, Gerson, Szmętowski, Malecki, Brzozowski i inni. Zwłaszcza Józef Szmętowski (1833—1876) i Wojciech Gerson (1831—1901), nieustrudzeni w swych poszukiwaniach malarskich, wędrujący po całym kraju i przywożący z tych wędrowek setki studiów i szkiców, mogą być uważani za twórców właściwego krajobrazu polskiego. Oni to odkryli dla przyszłych pokoleń malarzy piękno ziemi i przyrody polskiej, oni pierwsi potrafili z niezwykłym bogactwem uczucia odtworzyć jej urok, nastrój, oddać jej specyficzny polski charakter. Wpływ ich, zwłaszcza Gersona (bo Szmętowski wcześniej wyjechał z Polski i osiadł w Paryżu, gdzie krajobraz jego cieszył się dużym powodzeniem) na rozwój pejzażu w Polsce jest ogromny. Dzięki pedagogicznej działalności Gersona, który umiał przeszczepić uczniom swe zamiłowania, malarstwo krajobrazowe w Polsce nie ginie, lecz rozwija się wspaniale, by wydać z czasem takich mistrzów jak Chelmoński, Stanisławski czy Fałat.

Obok Gersona i Szmętowskiego, równorzędne niemal stanowisko zajmują Franciszek Kostrzewski (1826—1911), znany także jako malarz scen rodzajowych, którego krajobrazy, o subtelnej skali barwnej, nawiązują do tradycji malarstwa holenderskiego

PAWEŁ SZUMILAS

PUCHACZ

Cichym, miękkim lotem, nisko nad polaną leciał puchacz. Wracał z nocnych łowów do lasu, gdzie w gęstwinie nad brzegiem niedostępnego wąwozu w ogromnej dziupli starego umierającego buka było jego gniazdo.

Las budził się do życia. Wierzchołkami drzew wstrząsał lekki, poranny wiatr, a wśród gałęzi odzywały się coraz to inne głosy ptasie. Dołem było cicho.

Gdy puchacz pojawił się nad polaną, z wielu stron wyleciały małe ptaszynki i, łącząc się w gromady, krążyły nad nim.

Ośmieleni światłem dnia mali, skrzydlaci wrogowie drapieżnika, zbliżali się w gromadki i trzepocząc skrzydłami, a groźnie świergotząc, nadlatywali na ogromnego wroga, jak gdyby pragnąc go zaatakować.

A puchacz osłabionym przez słońce wzrokiem, patrzył szeroko rozwartymi oczami wprost przed siebie i zdawał się przed krzykliwą małą leśną hulastrą uchodzić.

W pewnej chwili skręcił w las i kierzynym lotem przesuwał się jak widmo między drzewami.

W ciemnej głębi lasu nie śmieli prześladować go wrogowie i leciał sam

w spokoju. Kierował się słuchem. Znał doskonale wszystkie głosy lasu tak dzienne jak nocne. Tu czuł się bezpieczny, do uszu jego nie dochodził żaden dźwięk wrogi, a kwilenie odlatujących na żer nieprzyjaciół jego, dziennych drapieżników — jastrzębi, nie niepokoiło go. Wiedział, że teraz napadać go nie będą.

Gdy tak leciał ku najciemniejszemu gęstwinom leśnym, usłyszał jakieś obce odgłosy. Przez las szły szmery, które ze zwykłym porannym leśnym hałasem nie miały nic wspólnego.

Puchacz zdecydował się nie dalać do gniazda, lecz skręcił w gęstwinę i cicho siadł na gałęzi.

Zwróciwszy przednie palce w tył, otężył silnie gałąź i zaczął po niej cichutko leżeć, przybliżając się do pnia drzewa. Tu przysiadłszy podniósł w górę pęczki piór nad uszami i zdawał się pilnie nadsłuchiwać. Niepokojący go odgłos ucichł i w lesie słychać było tylko świergot ptaków.

Puchacz opuścił „uszy”. Przytulony do pnia i podobny do niego barwą trwał bez ruchu.

Słońce wdzierało się już głęboko w las, kiedy ptak powolnie i cicho spły-

nął z gałęzi i niskim lotem skierował się w głąb lasu.

Wtem rozległ się strzał i puchacz z przebitym skrzydłem padł na ziemię.

Opierając się silnie zdrowym skrzydłem i nogami o ziemię, przerażonym,



złym wzrokiem wpatrywał się w nadchodzącego człowieka, grożąc mu swoim ostrym, zgitym dziobem. Wreszcie upatrzywszy moment podskoczył kilkakrotnie dziwacznie i skrył się w krzakach.

Tam zaatakował go szczekaniem pies, lecz powstrzymywany groźnym dziobem i podnoszącą się co chwila uzbójoną pazurami nogą, nie śmiał się zbliżyć.

Wreszcie człowiek zaczął puchacza kijać kłuc i z lekka uderzać. Ptak cofał się, aż zmęczony i osłabiony wysunął się z krzaka.

Został nakryty workiem i uniesiony.

Na wysokim słupie siedział puchacz. Skrzydło miał wylezione, ale do lotu niezdolne. Prawą nogę miał skutą obrączką i przymocowaną do łańcucha. Siedział bez ruchu z opuszczonymi „uszy” i smutnymi, okrągłymi oczami patrzył przed siebie. Słup, do którego był przymocowany stał na pustym otwartym wzgórzu. Leśnych głosów słychać tu nie było, nie pachniały drzewa i trawy leśne. Od bliskiego błonia dolatywały porykiwania pasących się tam krów, nawoływania pastuchów, a czasem niemiłe dla ptaka szczekanie psa.

Słońce dogrzewało i jaskrawymi promieniami boleśnie paliło na wpół ślepe oczy samotnego ptaka.

Pierwsze dojrzał więźnia-samotnika wrony, nadleciały i, jednostajnie a nieznacznie kracząc, krążyły nad nim. Nie atakowały jednak, nadlatywały tylko coraz bliżej, coraz bardziej zbliżały się do puchacza jak gdyby przekonane się chciały czy żyje jeszcze, czy też mogą już rozszarpać martwego.

Puchacz nie poruszył się, drgnął tylko pióra nad oczami, że zdawało się jak gdyby się marszczył. Nie poruszył

się nawet wtedy, kiedy jedna śmieleza i bardziej zajadła wrona, doleciała tak blisko, że się o niego otarła.



Nagle powietrzem wstrząsnął grom strzału — to strzelił ukryty w stojącej obok łudce myśliwy. Wśród wron powstał zamęt, jedna padła martwa na ziemię, inne odleciały.

Puchacz objął silnie palcami drążek na którym siedział, szybko przesunął się nieco w bok i znowu znieuchomił. Dawniej, kiedy go tu po wyleczeniu skrzydła umieszczono, bał się strzału, szczególniej przerażał go świst struty czy kuli, teraz był z tym oswojony. Mądry ptak zrozumiał prędko, że niebezpieczeństwo grozi nie jemu, lecz właśnie jego wrogom.

TRZY „ale” PISARZA

— Chętnie podyskutowałbym z panem, jako typowym odbiorcą literatury na temat zarzutów stawianych ostatnio z różnych stron nam, pisarzom. Sprawiedliwość i dobro dyskusji wymagają, aby była wysłuchana także i druga strona, nieprawda?

— Z pewnością. Ja nawet, jako czytelnik, jestem niezmiernie ciekawy jak wygląda nasze niezadowolenie ze współczesnej literatury polskiej z punktu widzenia literata.

— Doskonale. Niechaj więc najpierw streści pan lapidarnie pretensje, a ja na nie w miarę możliwości odpowiem. Słucham: co wam się nie podoba?

— Co nam się nie podoba? Przede wszystkim blahość waszej tematyki. Ciągłe jeszcze — jak przed wojną — patrzyliśmy we własny światek, a my tu przeżywamy czasy jakich nie zna historia. Przebudowuje się świat, przebudowuje się człowiek. Chcemy oglądać te sprawy nie tylko w życiu, chcemy aby nasza najlepsza przyjaciółka — książka, wasza książka, dawała nam wierny obraz życia, pozwalała zastanowić się nad nim i rzuciła światło na te trudne i skomplikowane sprawy. Orgia wspomnień wojennych ma się na szczęście ku końcowi. Czemu nie piszecie o naszym życiu powojennym, o tym o czym mówimy i myślimy bezustannie od chwili rozgromienia hitlerowskiego napastnika? Czemu nie piszecie po prostu, bez nieznośnego mątu staroświeckiej awangardy, bez różnych tam manier wrażliwo-reporterskich, tak po ludzku, jak pisało się dawne, dobre i ciekawe powieści? To wszystko.

— Wie pan co najpierw uderza mnie w pańskiej opinii? To, że jest ona tak zgodna z opinią polityków. I oni bowiem zarzucają nam, że nie nadążamy za obecnym czasem, że nie dajemy obrazu prawdy dzisiejszej rzeczywistości.

— Wcale im się nie dziwię. Politycy, tak samo jak szary odbiorca życia i literatury, nie mogą ciągle tylko iść naprzód, zwłaszcza po trudnej drodze, chcą od czasu do czasu zatrzymać się, spojrzeć wstecz na przeżyty odcinek, zrobić obrachunek, porównać teorię z życiem.

— Tak, to jest bardzo ludzkie i zrozumiałe, wyczuwamy to doskonale, ale...

— Ale co?

— Są trzy „ale”. Nie wiem czy pan jako czytelnik zdaje sobie sprawę z istotnego stanu naszej pisarskiej rzeczywistości. Jest nas w Polsce piszących literatów kilkunastu (mówię o pisarzach z nazwiskiem). Z tej liczby może sześciu żyje z książek. Reszta o mniej głośnych nazwiskach plus cała młodzież literacka, musi iść do dodatkowej pracy zarobkowej w innych zawodach. Napisanie powieści, takiej jaką chce pan i inni czytelnicy, jest właśnie najtrudniejsze. W mławie sty-

li i treści można puścić różne historie nieprzemysłane dostatecznie, można wreszcie skryć różne luki i potknięcia. W klasycznej prozie fabularnej — wszystko to wylazi na wierzch, wypływa do góry jak oliwa. To jest praca napisanie takiej powieści, wyczerpująca długotrwała praca. Niech pan sam powie czy można jej żądać od ludzi, którzy osiem godzin dziennie przepracowują w biurze?

— No, nie przekonał mnie pan zupełnie. Reymont pracował jako zawiadowca stacji a przecież dostał nagrodę Nobla.

— Tak, ale po pierwsze nie za te powieści, które pisał jeszcze jako zawiadowca, tylko za te, które mógł tworzyć w spokoju i zaciśniętym swoim mieszkaniu w Warszawie. Poza tym — wyjątki nie stanowią o regule. Nie można budować nowej rzeczywistości literackiej na wyjątkach. Niestety u nas to już weszło w system. Karol Irzykowski, mimo że był wybitnym, cenionym krytykiem, musiał pracować w sejmie jako stenograf, a twórczej pracy literackiej mógł poświęcać dopiero wieczory i noce. Trudno sobie wyobrazić, że kraj nasz nie może dać skromnego, lecz pewnego kawałka chleba stu ludziom, po których można by się czegoś w dziedzinie literatury spodziewać, dać oczywiście „na kredyt”.

— A drugie „ale”?

— Drugie „ale” proszę pana, to — czytelnik. Dawni nasi przedwojenni czytelnicy w liczbie około dwudziestu tysięcy, z których tylko czwarta część kupowała książki, (reszta je pożyczala), wyginęli, zostali rozproszeni. Szukamy nowych czytelników. Książek wydaje się dziś znacznie więcej, ale kto je kupuje? Trzeba dać pisarzowi żywego, konkretnego czytelnika. Z pisania do nikogo nie wyjdzie nic dobrego. Upowszechnić kulturę literacką to znaczy obniżyć kilkakrotnie ceny książek. Wszystko inne to puste frazesy.

— Czy jeśli te dwa warunki zostaną spełnione będziemy mogli liczyć na dobrą książkę o interesujących nas sprawach?

— Jest tu jeszcze trzecie „ale”. Pisarz to jest też człowiek. Czytelnik gubi się w gąszczu dzisiejszych zagadnień życiowych — gubi się w nich i literat. Nowoczesna świadomość inteligenta, proszę pana, to galimatias różnorodnych wyobrażeń, pojęć, teorii, doktryn, etyk i stylów, bardzo często sprzecznych lub nawet wrogich sobie. Pisarz musi rozplątywać węzły, musi dać powieść z prostym założeniem, przejrystą we wnioskach i skutkach, zredukowaną do rozstrzygnięć podstawowych. Chcemy wskazywać prawdę czystą i obiektywną, prostą i jasną, ale musimy ją wpiąć w skomplikowanym nurcie współczesności sami i samodzielnie wyczuć, odnaleźć, rozgryźć i przetrawić. Dajcie nam trochę czasu na to. Nie żądamy chyba zbyt wiele?

— Nie. Będziemy czekać, ale...

— Więc jest i czwarte „ale”!

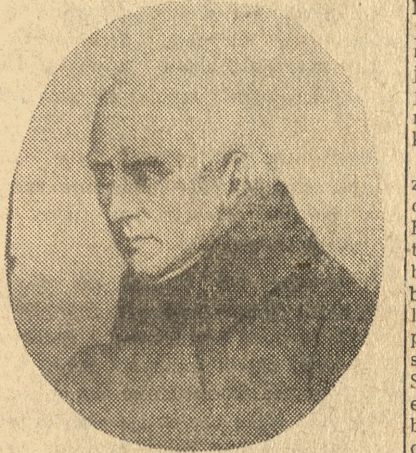
— ...ale nie dajcie nam czekać zbyt długo!

JASKI

Stanisława Staszica na Wezuwiusz wycieczki

Z dawnego szychu patrzy ku mnie twarz Staszica. Stary to już człowiek. Zamglony cokolwiek oczyma spogląda w swe twarde i pełne wyrzeczeń życie. Ale miało ono też i w latach młodości błyski słońca... Stanisław Staszic jeździł wzdłuż i wszerz po Europie, słuchał wykładów najznakomitszych w owym czasie uczonych geologów i „geognostyków”, ale najważniejsze w tych podróży: patrzył ciekawym wzrokiem na otaczający go świat gór, nizin i brzegów morskich. Nie tylko jednak krajobraz go interesował. Patrzył na ludzi z ich wszelkimi upadkami i wzlotami. Krytycznie notował spostrzeżenia i chował te podróże notatki w stosie papierów. Już był później autorem znakomitego dzieła o „Ziemiorodztwie gór Sarmacji”, już był twórcą pierwszej polskiej mapy geologicznej w początkach XIX wieku wydanej a do dawnych notatek podróży często sięgał i rękopisy uzupełniał. Przeleżały w mroku i kurzu te notatki przez więcej niż sto lat aż traf szczęśliwy pozwolił Czesławowi Leśniewskiemu dobrać się do tych skarbow pamiętnikarskich i dzięki zrozumieniu sprawy w zarządzie Akademii Umiejętności w Krakowie opublikować je w poważnie zakrojonym dziele krytycznym. Ileż ciekawostek wszelakiego rodzaju kryją te dotychczas „inedita” Stanisława Staszica! Jakaż zdolność obserwacji i ostrość spojrzenia!

Z przebogatego materiału wydobywamy na dziś pewien szczególnie interesujący fragment notatek z podróży włoskiej w roku 1791. Staszic, wiedziony ciekawością, która nie jest pierwszym stopniem do piekła a zna-



Ks. Stanisław Staszic

mionuje w młodym księdzu-geologu znakomitego w niedalekiej już przyszłości uczonego — wychodzi kilkakrotnie na szczyt Wezuwiusza, by z brzegu krateru spojrzeć w dymiącej otchłań, by zbadać mechanizm wydobywania się ognistej lawy, by rozmyślać nad skutecznym sposobem odwrócenia strumieni tych law od osiedli ludzkich, by poznać „system” wyrzutów owych „lapilli” i wulkanicznych bomb, które z hukiem biją w zadymione niebo, by z kolei spaść gdzieś daleko i grozić człowiekowi...

22 lutego 1791 roku: „...byłem na Wezuwiuszu, który dwudziestego drugiego po południu zaczął być niespokojnym; wyrzucił kamienie, najwięcej żuźle. Grzmoły straszne słycać było w górze, te poprzedzały każdy wyrzut kamieni. Często w minucie kilka razy

wyrzucił. Pod nogami drżała ziemia, nad nami huczało, słycać spadek kamieni; runą z góry wierzchowiska kołem z przeraźliwym szumem ognie.” I znowu w cztery dni później jest Staszic na wierzchołku wulkanu. „Wyjechałem na Wezuwiusz i stanąłem z kompanią u ramienia lawy... cała była żuźlem okryta. Pod tym żuźlem ciekła ale bardzo powoli rozpalona materia...



Wezuwiusz tego wieczora już mało kiedy huczał. Wyrzucił popioły tak, że po kilka razy z kapelusza strząsać musiałem... krater w tym miejscu, z którego lawa ciekła widziałem, iż zapadł się na kilkadziesiąt łokci. Lawa żywym ogniem płynęła z początku. Płynienie lawy jest bardzo wolne, więc można by ją zawsze zwrócić, kopiąc przed nią rowy. Przystąpić do niej można o krok, jakoż, stojąc nad brzegiem dotykałem ją kijem; lecz gdy się wiatr obrócił, na mnie dym z tej strony idący i wielkie gorąco ustąpić mnie przymusiły...

Staszic interesował się oczywiście zjawiskami wulkanicznymi, których dookoła Neapolu jest niezmiernie dużo. Badał osobście „solfatary” i małe krater Flegtejskich Pól. Niestety z opublikowanych notatek nie wiadomo, czy był na Sycylii i czy widział choć z daleka Etnę. Rękopisy notatek mają pewne luki i nieraz brakuje w nich szeregu kolejnych dni. To pewne, że Staszic widząc osobście działalność erupcyjną Wezuwiusza sposobił się bardziej jeszcze do znajomości geologii. Jej zawdzięczamy wspomniane dzieło o geologii polskich ziem. A choć wulkanów u nas nie ma i dochowały się jedynie ich resztki z dawnych epok geologicznych — to przecież i ten pobyt naszego znakomitego Meza na Wezuwiuszu włączamy w cykl „Polaków na szlakach świata” bo „obce wiedzieć dobrze jest — a swoje należy!”

Dr Jerzy Młodziejowski



Ryszard Berwiński

poznajski pisarz-radykał w dobie „Wiosny Ludów”

Wrony odleciały ale nie na długo i w parę chwil, urągliwie kracząc, powróciły. Huknęły dwa szybko po sobie następujące strzały, i dwie wrony spadły. Pozostałe skiełbiły się na chwilę, lecz zaraz zaczęły popiesznie uchodzić. Nie odleciały jednak daleko, gdy trzeci strzał stracił jeszcze jedną.

Teraz wrony odleciały na dłużej. Wreszcie powróciły dwie i zaczęły dość wysoko krążyć. Po chwili przyłączyły się do nich jeszcze dwie, a z daleka nadciągały inne. Strzały nie padły.

Nagle puchacz nastroszył pióra, zatrzepotał skrzydłem, i pokręcił głową. Wrony kracząc zaczęły zataczać wielkie koła — latały daleko od puchacza. Wysoko, w powietrzu zawieszony na rozpostartych skrzydłach srebrzył się w słońcu jastrząb. Trwał tam bez ruchu. W pewnej chwili opadł gwałtownie w dół, nie doleciał jednak do ziemi, ale znowu zawisł w powietrzu. W świetle słońca widać było jak niesłychanie szybko drgały jego skrzydła.

Padł strzał. Jastrząb jak kula zleciał fuż obok puchacza na ziemię, w tej chwili jednak poderwał się, skośnym lotem z szaloną szybkością wzbił się w górę i znikł w słońcu.

Na plac boju nadleciały wrony i znowu nieznacznie krakały.

Często siadywał puchacz na słupie i przywabiał sobą różne ptactwo. Nadla-

tywały jastrzębie, sokoly, a czasem wielka kania powolnym, ciężkim lotem unosiła się nad nim.

Puchacz przywykł do swego życia. Huk strzałów, świst kul były dla niego rzeczą powszednią. Jastrzębi nie bał się, a wronami pogardzał. Karmiony dobrze, żył w spokoju i może nawet zapomniał o leśnym mroku i wilgotnym zapachu starej dziupli.

Ale jednego dnia znalazł go wiszącego za nogę na łańcuchu przerzucanym przez drązek. Skrzydła zwisały bezwładnie ku ziemi a między nimi chwiała się martwa, duża głowa.

Na słupie siedziała wrona,

Wojciech Bogusławski urodził się 191 lat temu

Do białego żaru rozpalili się „rodak” z Glinienka pod Biedruskiem, Franciszek Jaśkowiak, gdy któregoś dnia w krajoznawczej wycieczce zawiązał o swe rodzinie strony i dowiedział się o niezbyt fortunnym pomysle rozebrania dworku, w którym się — we wsi Glinie — 191 lat temu, właśnie w dniu Wielkiej Soboty, przypadającej w owym 1757 roku na dzień 9 kwietnia urodził Wojciech Bogusławski. Zrobiło się wiele szumu i ostatecznie projekt upadł a domek stoi... i chyba stać będzie jeszcze długo. Wiadomo, jak Wielkopolska „lubi” szanować pamięć swych znakomych Synów. Dom Wojciecha Bogusławskiego musi stać się swego rodzaju pamiętką. Braknie wprawdzie nowożytnego Napoleona Ordy, który by ów „locus natiuitatis” w białawo-żółtej litografii własnym sumptem opublikował ale od czegoż poznać mistrzowie obiektywu i sztuki „białoczarnej”? Niechże korzystają z budżecie wyciosy i rozkwitającej zieleni... niech idą na polowanie pamiętek rodzimej kultury.

W tymże domku w Glinie pan Leopold Bogusławski — ojciec — zapewne rodzicielską dumą wiedziony zanotował na karteluszu te słowa: „R. 1757 dnia 9 kwietnia w Wielką Sobotę urodził się Woś pod znakiem strzelca, zaraz z wody ochrzczony”. Do tegoż Glinna w około dwa tuziny lat później ówczesny listonosz kuszyłka po piachach styczniowym śniegiem pokrytych i niósł liścik od Wosia, który urzejmy mi wyrazy prosił ojca o wysyłkę pieniędzy na ubranko i książki, bo już poszedł w świat daleki na nauki. A znowuż w końcu marca roku 1778 książkę Adam Czartoryski podpisuje Wosiowi (już teraz skończonemu dwudziestolatki) „abszajt” z kompanii pułku Gwardii. Podchorąży Wojciech Bogusławski idzie do cywila i... zostanie aktorem, śpiewakiem operowym, tłumaczem co najmniej setki obcojęzycznych (najchętniej francuskich) sztuk, Kariatyda wędrownych trup teatralnych od Wilna przez Poznań do Lwowa. Może to właśnie w podchorążówce zdołał się nauczyć Ojciec Polskiego Teatru zaradności i sprężystości życiowej?

Bogusławski wydobywa na granicy z zanadru „Passport”, wydany mu w Warszawie roku 1823. Jedzie z dwoma aurfami służącymi Mikołajem Dymianym i Wawrzeńcem Domańskim, „w interesie własnym w Kray Wielkiego Xięstwa Poznańskiego do Miasta Poznania”. O! Już miał za sobą długie lata teatralnych uzerek. Było ich tyle, że starczyło by dla trzech, czterech. Ale nie podobnych Bogusławskiemu! Toż to istny Feniks bajeczny. Z popiołów teatru od-

radza się w coraz to innym mieście. Czy wiecie, młodzi słuchacze poznańskiego studia dramatycznego, że takim jak dziś wy — Bogusławski przed 150 z górą laty szkołę dramatyczną założył? „Krywdzące głos oczysty mniemania umorzył, pisał, grał i grających na czas późny stworzył” — takim napisem uwieczniono współczesny miedzioryt z popiersiem „Wosia” z Glinna.

W 1929 roku urządzono w stulecie zgonu Wojciecha Bogusławskiego w salach reutowych warszawskiego Teatru Wielkiego wystawę „teatralną”. Dyrektorem jej był Mieczysław Treter a w komitecie wykonawczym zasiadło jedenastu dyrektorów najrozmaitszych teatrów polskich. Dziś nie tylko po wystawie ale i po jej ekspozycjach pozostał nikły, bodaj nawet żaden ślad. Wielki Teatr z całym archiwum spłonął w czasie okupacji. Zbiory Ludwika Solskiego pochłonęła pożoga Powstania Warszawskiego. Komplet afiszów z najciekawszych przedstawień zaginęły. Pozostał tylko... „Katalog” wystawy. Ale z jego kartek czytać można o tych przemianach skarbów i ubiegłych w dół historii lat. Przecież właśnie z tej książeczki wiadomo dziś, że w pierwszym przedstawieniu pierwszej polskiej „opery” Macieja Kamińskiego — w owej słynnej „Nedzy uszczęśliwionej” śpiewał w roku 1778 partię Antka-wieśniaka właśnie Bogusławski... a w dziesięć lat później grano w Warszawie za sprawą Bogusławskiego niemniej słynną w dziejach polskiej opery, zaginioną już dziś „operę” Hollanda do tekstu Radziwiłła — owa „Agatka” z drugim tytułem: „Pan dobry jest oycem poddanych”. W witynach wystawy sprzed 19 lat leżał przecież najdłuższy ze znanych egzemplarzy „Krakowiaków i górali, czyli cudu mniemane” — opery w dwóch aktach oryginalnie napisanej z muzyką Stefana. Przerobiony we Lwowie w roku 1796 egzemplarz z własnoręcznymi poprawkami autora — Bogusławskiego i taką adnotacją na stronie tytułowej: „Wolał się autora, aby miejsce przekreślone przez cenzurę opuszczone całkiem były, ale ani poprawiane ani na ich miejsce inne wiersze do-rabiane”...

I można by przytaczać wiele innych jeszcze ciekawostek w tej dziedzinie ale przecież nie o to tu chodzi. Do rodzinnej wioski Bogusławskiego z Poznania nam niedaleko. Z Glinna do Chojnicy też blisko a warto być w tamtejszym kościele — dziś już opuszczonym ale na szczęście pieczołowicie chronionym. Piękne to strony piękna okolicy i piękne tradycje z niej nam pozostały. Obyśmy tylko potrafili je przechować. Je-Mi

RYSZARD BERWIŃSKI

Mało który z pisarzy polskich jest tak doskonałym odzwierciedleniem Wiosny Ludów jak Berwiński. Podobnie jak Wiosna Ludów wiele zapowiadał, mało co zrealizował, zapłonął jak raca na firmamencie literackim, zabłysnął i nagle zgasł, pozostawiając po sobie tom legend wielkopolskich, dwa tomiki poetyckie i doskonałe studium etnograficzne. Swego własnego oblicza nie dopracował się.

Najgłośniejszy z utworów jego był Don Juan Poznański, który sprowadza się do dwóch pieśni. Berwiński styka się z Dałbowski Edwardem i pod wpływem jego przepadła się w entuzjastę dla ludu, dla jego tężyzny i naturalnej prostoty. Doskonale się to uwewnętrznia w utworze Mogiła Kościuski.

Upadek Polski przedstawiony jest tu symbolicznie jako biblijny potop. Dla historyka literatury, kto wie, czy nie najwięcej interesującym będzie stwierdzenie wpływu poezji Juliusza Słowackiego. Bodożaje jest to jedyny wypadek w ówczesnych czasach wpływu autora Beniowskiego na poezję.

Niezwykłe wrażenie zrobił na Berwińskim Grób Agamemnona Słowackiego. Już w Don Juanie Poznańskim, mówiąc o szlachcie na wzór Słowackiego, zestawia ją z bohaterami spod Termopil, a motyw trupa rozkładającego się w żupanie i kontuszu daje w Mogile Kościuski.

W utworze „Ubogim w duchu” mamy doskonałą parafrazę z końca V pieśni Beniowskiego, jest to zresztą najsilniejszy utwór Berwińskiego. Małym pozwala pracować i modlić się u stóp ołtarzy, on o sobie stwierdza, że nie potrafi się w modlitwie poniżyć, jemu nie odpowiada Bóg pokory, ascezy, on chce, aby do niego Bóg przemawiał w ogniu piorunów, rewolucji, przewrotów: „Raz usiadłszy jak Elias w rydwan namiętności — chcę ogniem namiętności żywo wejść do nieba”.

Berwiński staje się aktywnym działaczem, idzie w awangardzie najczynniejszych rewolucjonistów, działających między rzemieślnikami i ludem poznańskim, zdobywa sobie rozgłos jako autor

Czerwonego Marszu, ale wszystko co poczyna, kończy się fiaskiem. Wyślany jako emisariusz do Galicji wpada w ręce policji austriackiej i przebywa roczne więzienie w Wiśniczu, przeżywa tam klęskę roku 1846, później proces w Berlinie jako członek spisku wielkopolskiego r. 1846. Po wypuszczeniu z więzienia jest członkiem Poznańskiego Komitetu Narodowego i reprezentuje najskrajniejszą rewolucyjną skrajność, pracę do powstania. W okresie Wiosny Ludów bierze udział w rozruchach krakowskich, czynny jest we Wrocławiu, aż w końcu odnajdujemy go na ogólnopolskim zlocie w Pradze. „Smutne wyniki Kongresu — pisze historyk — ruine nadziei, związanych z rewolucją 1848 roku, przeżywa jako osobistą tragedię”.

Nie przeszkadza mu to po powrocie do kraju poświęcić się pracy publicystycznej, a nawet poselskiej. W roku 1853 jest sekretarzem Koła Polskiego w parlamencie berlińskim i reprezentuje kierunek bezwzględnej opozycji w stosunku do rządów pruskich. Zniechęca się szybko do polityki i składa mandat poselski i pod wpływem zawodów, jakich mu życie nie skąpi, po zerwaniu z narzeczoną, wpada ponownie (po raz pierwszy w roku 1850) w chorobę umysłową.

Pod wpływem wojny krymskiej ożywia się i wyjeżdża do Stambułu i łączy się do organizacji wojskowej Sadyka Paszy Czajkowskiego i jest temu ostatniemu wierny aż po rok 1870. Uwolniony wtedy ze służby wojskowej obserwuje coraz bardziej ugrunтовujący się wpływ polityki pruskiej w Turcji. Umiera w zupełnej nędzy w hotelu francuskim, w którym pożar jeszcze za jego życia niszczy resztki jego majątku, między innymi rękopis dzieła: „Rzym a Konstantynopol”.

W okresie tym długoletnim Berwiński nic nie ogłosił drukiem poza garścią artykułów i dziełem z zakresu etnografii pt. Studium o literaturze ludowej (dwa tomy, rok 1854). Dzieło to napisał w czasie długoletnich rekolcji więziennych. Dzieło to jest niezwykle oryginalne i prekursorskie.

Dr Czesław Łatawiec

Oprawa sceniczna

„Carmen” w oczach zwykłego widza

W Teatrze Wielkim w Poznaniu wystawiono „Carmen” — stara, dawno oceniona opera, wchodząca w skład żelaznego repertuaru wszystkich teatrów operowych świata. W samym fakcie wznowienia „Carmen”, nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie dekoracje. Wykonali je dwaj wybitni artyści malarze: Wacław Taranczewski i Stanisław Teisseyre. Nowa oprawa sceniczna zrywa z obowiązującym dotychczas szablonem realizmu i wprowadza na scenę koncepcje, przynajmniej w Poznaniu, całkiem nowe — dostosowuje bowiem dekoracje do muzyki oraz usiłuje wytworzyć przez zestawienie elementów dekoracyjnych z muzycznymi — nastroje zgodne z intencjami kompozytora. Muzyk i plastyk podają sobie zgodnie ręce i łączą swe dzieła w jedną artystyczną całość.

Na temat wykonanych dekoracji wypowiedział się na łamach „Głosu Wielkopolskiego” — prof. Stanisław Szczępański, a więc fachowiec w dziedzinie sztuki plastycznej; niechaj więc wolno wyrazić opinię zwykłego widza i skorzystać z zaproszenia do dyskusji.

Eksperymentalne dzieło pp. Taranczewskiego i Teisseyre’a dyskusji dotychczas nie wywołało, co tłumaczyć należy obawą wypowiadania się ludzi na temat sztuk plastycznych. Artysty w swej znacznej większości stosują w dyskusjach argumentację, wyliczącą z dysputy krytyków niezgodzących się z ich poglądami. Ponieważ walka z przeciwnikami w sprawach sztuki jest na ogół zacięta, człowiek prosty a nawet inteligent milczy, bo obawia się zarzutu, że na sztuce się nie zna i że jej nie czuje. Jest w tym i pewna racja. Niektóre dziedziny sztuki wymagają specjalnego zństwa, nabytego przez studia, niektóre dostępne są tylko nielicznym, szczególnie wyczułonym jednostkom. Ale przecież tyle mówi się o sztuce dla mas i tak wyklina koncepcje elitaryzmu, które podważają zagadnienie sztuki. Jesteśmy świadkami wyraźnej niezgody między niektórymi grupami artystów a szerokim rzeszami zwykłych odbiorców. Na wystawach mówią nam: to jest obraz wspaniały, a ogromna większość widzów sceptycznie kreśli głowę i pyta — co tu jest piękne? Rzecz charakterystyczna że te właśnie nadzwyczajne dzieła znajdują najmniej nabywców, a twórcy narzekają na brak zainteresowań sztuką i na niedocenywanie ich wysiłków.

Między innymi twierdzi się, że nie zawsze to jest piękne co się rzeszom podoba, natomiast piękno oryginalne i rzeczywiste musi być masom narzucane. Dopiero z czasem zostaje ono we właściwy sposób pojęte i ocenione. Przeciwny widz ciągle jeszcze szuka w malarstwie odbicia otaczającego go świata, mniej lub więcej realistycznej wizji, gdy tymczasem sztuka współczesna dawno już odstąpiła od odzwierciedlania iluzorycznej rzeczywistości. Na nowoczesne dzieło sztuki nie można patrzeć oczyma człowieka sprzed stu lat, doszukującego się w portrecie podobieństwa, w krajobrazie sielskości, w martwej naturze konkretów. I dlatego słusznie twierdzi Mieczysław Porębski w jednym z ostatnich numerów „Przekroju”, że na wystawie sztuki współczesnej trzeba iść z takim samym nastawieniem, z jakim idzie się na koncert. Dzieło sztuki nie tyle jest dzisiaj odbiciem rzeczywistości, ile źródłem bogatej skal wzruszeń. Zrozumiemy to dobrze, gdy sięgniemy do porównania malarstwa z muzyką. Utwór muzyczny nie jest przecież kopią natury, a mimo to nastroja nas w zależności od swego charakteru, radośnie lub na smutno, niepokoi lub uspokaja, może nawet wywołać wspomnienia lub myślowe wizje. To co w muzyce osiągamy przy pomocy zestawienia dźwięków — osiągamy w malarstwie poprzez łączenie barwnych plam w układy kompozycyjne. Ten rodzaj twórczości jest niezwykle trudny, gdyż nie zawsze udaje się artystyce zakłać w swym dziele nastroje, jednakowo przez wszystkich odczuwane.

Po tym obszernym, lecz koniecznym wstępie możemy już przejść do omówienia uwag, narzucających się przy oglądaniu scenicznej oprawy do „Carmen”. Wydaje mi się przede wszystkim, że narzędo przeskoku od dekoracji realistycznych do symbolizmo-nastrojowych nie można zaliczyć do eksperymentów udanych. Przeciwny widz jest ogłuszony niepojętą dla niego nowością i z miejsca nastawia się negatywnie. Sondowałem opinie wielu moich znajomych zanim zdecydowałem się fakt ten przytoczyć. Przeciwny widz ocenia dekoracje niekoniecznie sprawiedliwie, lecz krytycznie — nie odejmuje im wartości dzieła oryginalnego, ale nie widzi w nich piękna. Uchodzi ono po prostu jego uwadze.

Nie sądzę by artystom powiodło się zharmonizować oprawę sceniczną z charakterem muzyki. Trudno mi położyć się ze zdaniem że dekoracje nie przeszkadzają muzyce. Przeciwnie — raczej przeszkadzają, odwracając niektórymi szczegółami uwagę widza od melodii. Już w pierwszym akcie widza pokoi go szubienica czy też wiegą po prawej stronie sceny; żerdź z przybitym wycinkiem dyktu symbolizująca chorągiew zmusza go do zastanawiania się przez kilka minut, dla jakiego powodu artysta tutaj ją umiejscowił — a muzyka wciąż ciekła i gnie dia ucha. Rozmieszczenie barw jest bez zarzutu, ale czy naprawdę stwarza nastroj panujący na odpuszcze? Nie odzulem tego ani ja, ani wielu innych. Znacznie lepszy jest obraz obery, natomiast w trzecim akcie zestawienie pół realistycznie potraktowanych gór z grotą, przypominającą do złudzenia betonowe wejście do schronu przeciwlotniczego nie wydaje mi się szczęśliwe.

Całkiem niezrozumiałym jest odcinający się na ciemnym tle wzgrz jasny słup. W górnej części sceny pustka płonącego wzniesienia nieba bardziej symbolizuje grozę wojenną aniżeli tło ballady lud rapso-du. W akcie czwartym wreszcie, najbardziej realistyczna dekoracja raz i swą symetrią. I ostatecznie uwaga: w pierwszym obrazie — luk mostu; w drugim — luk wnęki; w trzecim — prostokąt grot; w czwartym — ostrołukowa brama dorrady. We wszystkich przypadkach do znużenia w środku sceny. Ogólne wrażenie — nie nadzwyczajne. Za wiele koncepcji malarskich, za mało architektonicznych, a w dekoracji teatralnej nie tylko malarz ma głos — architektowi również trzeba dać możliwość wypowiedzenia się.

Aby uniknąć nieporozumień chcę podkreślić że moje wypowiedzi nie mają na celu obniżania wartości wykonanych dekoracji — twierdzą nawet, że mogą mylić się w ocenie. Wypowiedzi moje podkrotowane są chęcią zapoznania artystów-plastyków oraz kierownictwa Teatru Wielkiego z opinią zwykłego człowieka z widowni. Sądzę, że przyczynia się one choć w drobnej mierze do wysnuć wniosków, mogących przysłużyć się przyszłości.

Tadeusz Pasikowski

Jak zostać szczęśliwym człowiekiem?

Na liczne prośby wyrażane przez wiele osób z grona krewnych do dziesiątego pokolenia włącznie, znajomych z pierwszej i drugiej kategorii kart żywnościowych, tudzież bez kategorii, ludzi nieznanymi, ale naiwnymi, podaje kilka rad praktycznych, które jednak nie dają kompletnej odpowiedzi na pytanie...



nie w tytule zawarte. Toteż dalsze uwagi na ten temat będą niewątpliwie bardzo cenne i przyczynią się do wszechstronnego naświetlenia sprawy. Przede wszystkim nie należy wstawiać lewą nogą z łóżka. Wstawiając i spojrzawszy w okno w dni pogodne należy się cieszyć, jak małe dziecko, że jest słońce, w dni pochmurne zaś pocieszać się, że będzie za godzinę.

Bezwarunkowo nie czytać, zwłaszcza od rana, a najlepiej wcale naszych tygodników literackich, które nastroiłyby nas pochmurnie i odebrałyby nam wszelką radość i z których niewiele byśmy zrozumieli.

Zonaci powinni jak najwcześniej dość do wprawy, aby nie sobie nie robić z wszelkich zachcianek swych żon. Bo po co się denerwować, jeśli się chce być szczęśliwym? Zresztą do wszystkiego podobno można się przyzwyczaić, więc i z tym nie jest taka beznadziejna...

sprawa, jakby się na pozór mogło здаwać.

Ludziom o słabych nerwach nie radzimy czytać nowoczesnej poezji; poza wszystkim innym jest to niepotrzebna strata czasu. Można w zamian za to samemu spróbować pisać takie poezje, co nie jest znowu tak trudne. Sława przyczynia się do dobrego samopoczucia.

Do kina chodzić na normalne bilety, aczkolwiek to drożej kosztuje, ale nie kosztuje nas tyle „nerwów”.

Do teatrów należy znowu chodzić tylko na takie sztuki, które nie są reklamowane jako wspaniałe i oglądać tylko tych aktorów, o których grze nie mówi się jako o rewelacyjnych kreacjach. Podczas gdy tamte występują na scenie, można zamykać oczy. Wtedy na pewno wyjdziemy z teatru oczarowani i nie wyprowadzi nas nawet z równowagi wieczorny „rozkład jazdy” poznańskich tramwajów.

Zdaję sobie sprawę, że mój poradnik nie jest kompletny, ale ponieważ stale jeszcze trzeba się liczyć z ograniczeniami papierowymi, muszę już skończyć.

TAD. M.



— Zna pan tę parę przy sąsiednim stoliku?
— Tak... Znajdują się w podróży poślubnej.
— Hm... Nie wyglądają na zbyt szczęśliwych.
— ... Teraz wracają z podróży.

Gorzka uwaga



— Tatusiu, przecież to nie jest wcale brylantyna do włosów...



— Jeżeli nie powiesz mi prawdy... obetnę ci szyję...

Z galerii dziwaków

Wielki miłośnik... kotów

Ze słowem „koty” kojarzy się mimo woli drugi wyraz — stara panna. Bo powszechnym mniemaniem owe bezmężne matrony dzierżą prym w opiece i wychowaniu miękkiwskich stworzeń. A jednak w mię prawdę podważyć muszę ten vox populi, bo nie kobieta, nie stara panna, ale mężczyzna — sławny swego czasu malarz portrecista — Józef Oleszkiewicz zasługuje na laur pierwszeństwa w historii „kociich sierocińców”.

Dzisiaj mało się wie i mówi o Oleszkiewicz. A przecież swego czasu zbierały się tłumy, szły procesje, by podziwiać jego obrazy; a przecież jemu poświęcił Mickiewicz ustęp w „Dziadach”. Ale nie zapomniane zasługi chciałbym wydobyc na światło dzienne — zostawiam to kompetentnym znawcom — ale jedno z jego wielkich dzieł, których fama odbijała się stugębnym echem po Litwie, ba, po Rosji całej odkąd Oleszkiewicz zamieszkał w Petersburgu.

Obszerny dom, jaki w carskiej stolicy zajmował, dzielił pospół z kotami. Dla profanów miał ich kilka tylko na pokaz. Różnorodnej maści i gatunku siedziały w zamyszeniu po kątach pracowni, młodsze bezkarnie uprawiały kocie figle na stalugach malarskich. A kiedy którykolwiek z nich przechodził obok opiekuna, nie omieszkał potrącić łebkiem pańskiej nogi lub otrzeć się grzybiem. Każde z tych ogoniastych stworzeń posiadało imię, na które doskonale reagowało. A więc był Jaś, Michaś, Ignas, Zosia, Marynia, Różia. Prawdziwy obraz kociego królestwa widzieć można było w dalszych pokojach. Bez mała sześćdziesiąt mrukliwych

pupilów harcowało po stołach, szafach, krzesłach. Dla chorych był specjalny szpitalik. Nierzadko zmartwiony Oleszkiewicz u lekarza rady szukał, gdy epidemia kocia zbyt wielkie spustoszenie czyniła. Zmarłe starannie zawijał w białą bibułę i ze łzami w oczach wynosił na poddasze, gdzie leżały ogromne piasku masy. Tam był ich wspólny grobowiec.

Sąsiedzi znali słabość malarza. Podrzucali często niemile stworzenia pod jego progi, a ten wielki koci altruista przyciemniał wszystkie. Kiedy brakowało już miejsca na pomieszczenie pupilów, oddawał je na wychowanie stróżkom, klepikarkom i na utrzymanie ich miesięczne pensje wypłacał.

Z gorączką i ubolewaniem wspominał Oleszkiewicz barona Weidlicha, który raz pewnego, korzystając z nieobecności gospodarza wdął się do kocich apartamentów i kijem ogromnym pozczął łuc wylegające się stworzenia. Nieprzywykłe do takiego traktowania koty z miaczeniem na ulicę wyskakiwały poczęły. Przechodnie z podziwem przystawali, bo jak Petersburg Petersburgiem, takiej gromady kociej nikt jeszcze nie widział.

Nie tylko koty darzył Oleszkiewicz wielkim sentymentem. Gołębie serce brzydziło się każdym krwi zwierzęcej rozlewem, myślistwo uważał za piętno kainowe, i ludzkości ciężące. A już nieszczęśliwy, nędzą gnębiony człowiek był mu przyjacielem i bratem. I nieraz cierpiał głód z kotami swymi, i rubel ostatni oddał któremuś przybłądzie z ulicy, co o wspomnienie rękę wyciągał.

EDMUND KULISZ

W kwietniu kwitną kwiaty

Kwiecień jest miesiącem kwiatów, Mówią ludzie zwykle. Tej teorii taki atut: Wszystko w kwietniu kwitnie.

Pierwsze kwiaty, jak co roku, Rozchylają paki. A najczęściej chyba wokół Kwiatków z oślej łąki.

I w urzędach się zaznacza Wiosny wiew wybitnie, Dlatego tak bujnie nasza Biurokracja kwitnie.

U poety, dziennikarza I u esseisty Z racji wiosny też się zdarza Styl super-kwiecisty.

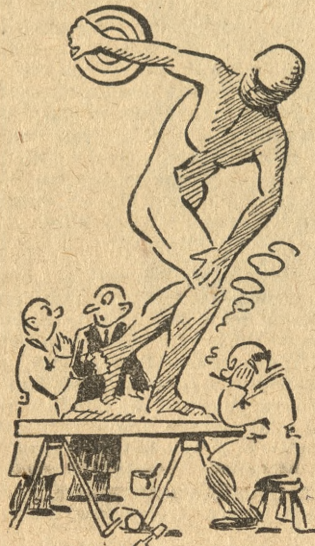
Najpiękniejsze pan swej pani Składa „uczuc kwiaty”. Grunt, że szczerze zakochani. A meble? Na raty...

Hej dlaczego wiosną, kiedy Idzie słońce w górę, Razem idzie z nim mój kredyt I cena na skórę.

Choć to na żart zakrawa, Pomyśleć się boję: Co dziś szybciej rośnie: trawa, Czy kłopoty moje?

Taki to jest miesiąc kwiecień Przewrotny. Ej, kto wie, Może w kwietniu masz, mój świecie, Zbyt zielono w głowie? MIK

Zmartwienie



— Nie wiesz dlaczego on taki zmartwiony?
— Widzisz — dowiedział się, że to już ktoś przed nim wyrzeźbił.



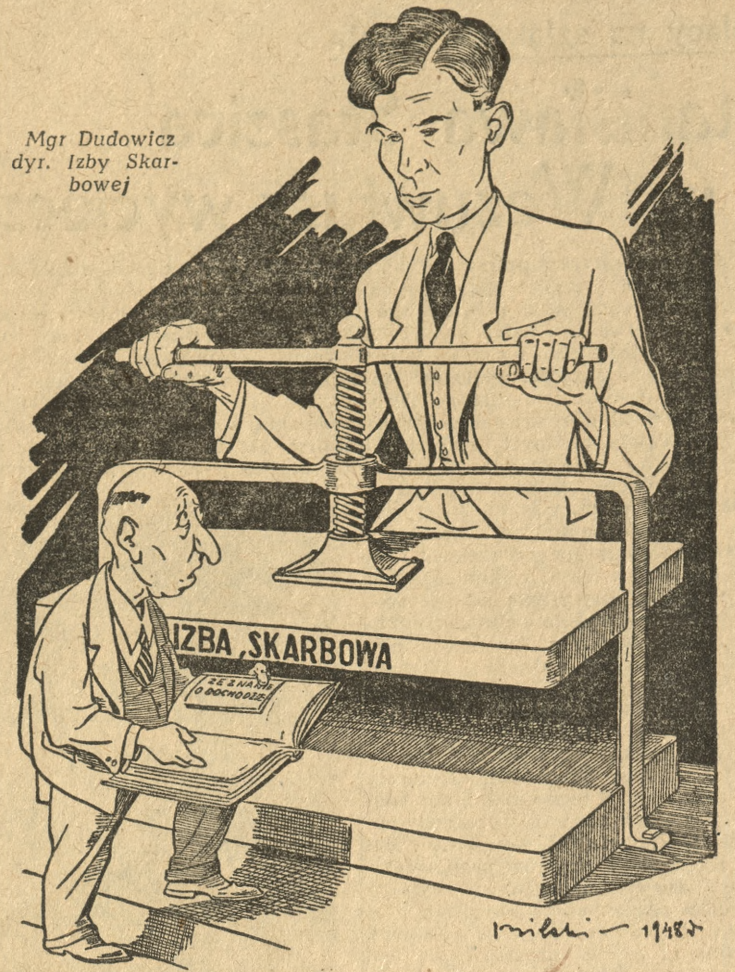
— Ja też mam w domu kilka wspaniałych obrazów.
— Z jakiego okresu?
— Z okresu, kiedy miałem dużo pieniędzy.



Kiedy zaklinacz węzów jest zmęczony

Z teki karykaturzysty

Mgr Dudowicz dyr. Izby Skarbowej



1948

ANEKDOTKI

Orłowski — malarz cieszył się niepoślednimi względami u Wielkiego Księcia Konstantego. Przebywał ciągle w jego towarzystwie, a nawet mieszkał w książęcym pałacu. Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździł. Pewnego razu W. Książę uniósł się tak dalece gniewem na swego faworyta, że doskoczył do niego z podniesionymi pięściami krzyżąc: „czy wiesz co ja z tobą zrobię?”

Nieostrożny Orłowski z najzimniejszą krwią odrzekł: „A czy Wasza Książęca Mość wie co ja z nim zrobię?” Konstanty oniemiał. Opuścił ręce. Wtedy Orłowski dokończył z flegmą: „Ja Waszą Ks. Mość odmaluję takim jak go teraz widzę”.

Wielki Książę zrozumiał wielkość zemsty, przeprosił i uściśkał malarza.

Na dwór Stanisława Poniatowskiego przybył francuski poseł. Prosił o posłuchanie, chcąc przedstawić listy uwierzytelniające. W naznaczonym dniu wchodzi poseł do gabinetu króla i za-

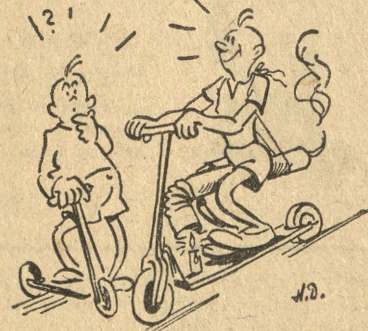
staje grzejącego się przy kominku przybranego w złote hafty, wstęgi i gwiazdy posła Katarzyny — Stackelberga, oraz skromnie ubranego, stojącego na uboczu króla. Nie znając ich zwraca się z napuszoną perorą powitalną do bliskotliwie ubranego Stackelberga. Jakaż konfuzja i wstyd, kiedy w odpowiedzi usłyszał: „mylisz się pan, oto król”.

Stackelberg nie posiadał się z radości, bo taka pomyłka ośmieszała Francuza niemało, Francuz zaś czekał na okazję do zemsty.

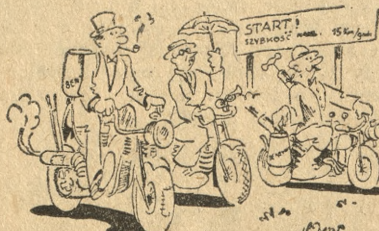
Po obiedzie król zasiadł do wista, przy czym do zaszczytu gry dopuszczeni byli również Stackelberg i Francuz. W pewnej chwili francuski poseł wysunięty przez Stackelberga damę zabił waletem i bitkę chciał zgarnąć ku sobie. — „Ależ pan zabija waletem damę” — robi uwagę Stackelberg.

Francuz popatrzył raz jeszcze na karty i odrzekł: „Prawda! To dla mnie pechowy dzień. Po raz drugi biorę bubka za króla”.

Na otwarcie sezonu motocyklowego



Start juniorów



Start Old Boy'ów

Pech

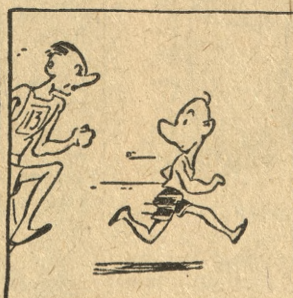


— Między nami są zawsze jakieś przeszkody...
— Tym razem znowu drzewo...

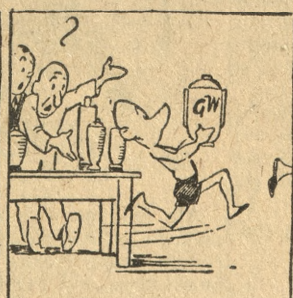
Na nic zapały, kiedyś za mały



Zawodnicy (Śliwka z brzegu) Wystartują wnet do biegu.



Mało było trenowania: Śliwkę oto ktoś dogania.



Myśl przychodzi wymienita — Nasz bohater puchar chwyta.



I o swej nie myśląc kleśce Wynagradza nim zwycięzca.